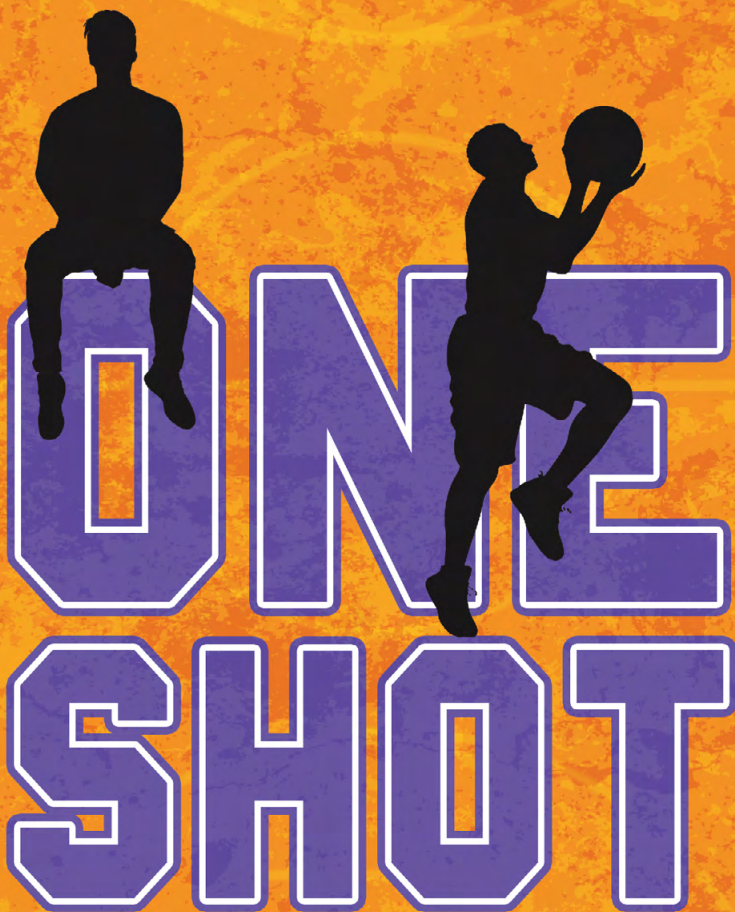


łączy ich nie tylko miłość do koszykówki,
ale również wzajemna nienawiść



LENA M. BIELSKA

LENA M. BIELSKA

ONE SHOT



WYDAWNICTWO
KREATYWNE

[Kup książkę](#)

Redakcja: Alicja Chybińska
Skład DTP: Andrzej Zyszcak – Zyszcak.pl
Korekta: Agata Bogusławska
Projekt okładki: Iza Goszczyńska, Justyna Knapik – Justyna.es.grafik
Rysunki we wnętrzu: Sandra Biel, Marta Michniewicz
Druk: Abedik SA

Zamówienia hurtowe oraz detaliczne:
Wydawnictwo Kreatywne – <https://www.wydawnictwokreatywne.pl>

Dystrybutorzy:
Platon Sp. z o.o. – <https://www.platon.com.pl>
Ateneum – <https://www.ateneum.net.pl>

Copyright © Lena M. Bielska
Copyright © Wydawnictwo Kreatywne

Wszelkie prawa zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody wydawcy jest zabronione.

Wydanie pierwsze
Bytom 2024
ISBN 978-83-970710-2-5

*Gdybyś miał jedną szansę, jedną okazję, by zdobyć wszystko,
czego kiedykolwiek pragnąłeś w tej jednej chwili, uchwyciłbyś ją
czy po prostu pozwoliłbyś jej się wymknąć?*

Lose Yourself, Eminem



Prolog

[Kup książkę](#)



Lance

Miesiąc wcześniej (Los Angeles, Kalifornia)

– Czy ty możesz w końcu przestać jęczeć? – warczę, posyłając Chloe zirytowane spojrzenie. – Nic nie robisz od dwóch godzin, tylko nieustannie jęczysz i marudzisz.

– Też byś jęczał i marudził, gdybyś był na moim miejscu – fuka, nerwowymi ruchami ocierając łzy z zaczerwienionych policzków.

– Ale czego ty się spodziewałaś? – Odsuwam od siebie stos dokumentów i opadam z głośnym westchnieniem na oparcie krzesła. – Że nie zdradzi cię po raz kolejny? Poważnie, Chloe?

Być może wychodzę właśnie na naprawdę kiepskiego brata, ale mam dość jej ciągłego wybierania nieodpowiednich kolesi. Najpierw Nathan, który przeleciał jej – już nie najlepszą – przyjaciółkę, a teraz Rick, który zdradził ją raz, ale obiecywał poprawę i oczywiście mu uwierzyła.

– Powinieneś mi współczuć.

Prycham kpiąco.

– Powinienem cię wysłać na terapię, a wcześniej walnąć patelnią w łeb.

Spogląda na mnie, mrużąc błyszczące ze złości oczy. Przynajmniej już nie płacze, a to zawsze jakiś progres.

– Ciekawe, skąd byś ją wytrzasnął, skoro w twojej kuchni są jedynie szklanki, sztucce i ekspres do kawy.

– Kupiłbym jedną specjalnie dla ciebie. Żeliwną. Może wtedy poukładałyby ci się klepki w głowie i przestałabyś być tak cholernie naiwna.

– To się nazywa *victim blaming*^{*}.

– Nie. To się nazywa szczerłość.

Chloe wzdycha, przewracając na mnie z irytacji oczami. Odwraca wzrok i spogląda przed siebie na pustą ścianę.

Żołądek zwija mi się w supeł. Może jednak potraktowałem ją trochę za ostro? Może faktycznie powinienem pozwolić jej się wypłakać, a dopiero jutro spróbować przemówić do rozsądku?

– Naprawdę myślałam, że się zmienił – szepcze zdławionym głosem.

– Tacy jak on się nie zmieniają.

Wstaję od stołu i podchodzę do siostry. Opadam tyłkiem na kanapę tuż obok niej i obejmuję ją ramieniem.

Natychmiast się we mnie wtula. Pozwalam jej na to, chociaż jej rozmazany tusz na pewno ubrudzi mi białą koszulę.

– Przykro mi.

– Wcale nie... – mamrocze niewyraźnie. – Miałeś rację.

– A chciałbym nie mieć. – Gładzę ją uspokajająco po plecach. – Naprawdę wolałbym, żebyś była szczęśliwa.

– Co jest ze mną nie tak, że każdy facet, z którym się spotykam, okazuje się dupkiem, Lance?

Wzdycham cicho i całuję ją w skroń.

– Z tobą nic nie jest nie tak. Starasz się w każdym dostrzec dobro i dać mu drugą szansę, ale niektórzy na nią po prostu nie zasługują. Czasem jednak lepiej jest skupić się na sobie i spalić za sobą mosty.

^{*} *Victim blaming* (ang.) – obwinianie ofiary (przyp. aut.).

– Tak jak ty to zrobiłeś?

Oczywiście, że pije do Liama Batesa.

– Dokładnie tak – odpowiadam pewnie.

– Nigdy tego nie żałowałeś?

Prycham.

– A czego by tu żałować? Dupka, który się ode mnie odsunął, bo bał się spojrzeć na swoje odbicie w lustrze i skonfrontować z prawdą?

Chloe potakuje skinieniem.

– Zastanawiasz się czasem, co u niego?

– Nie. – Perfidne kłamstwo wychodzi ze mnie tak swobodnie, jakby to była najprawdziwsza i najszczerza prawda.

Moja siostra odchyła głowę i spogląda na mnie uważnie.

– Nie śledzisz jego kariery?

– Nie. – Kolejne kłamstwo.

Oczywiście, że śledzę karierę trzydziestosześcioletniego Batesa. Trudno byłoby mi tego nie robić, skoro jest najlepszym strzelcem w historii NBA. Dwa lata z rzędu otrzymał nagrodę mistrza NBA. Kilka razy był wicemistrzem. Teoretycznie gra na pozycji niskiego skrzydłowego, ale równie dobrze radzi sobie jako rozgrywający i silny skrzydłowy. Od dwóch lat należy do Lakersów i nie sądzę, żeby zamierzał kiedykolwiek starać się o przeniesienie do innej drużyny. Zbyt dobrze dogaduje się na boisku z chłopakami.

– Właśnie powtarzasz sobie w głowie jego osiągnięcia, prawda?

– Spieprzaj. – Posyłam jej zirytowane spojrzenie, odsuwając się.

Nie jestem na nią zły, raczej na siebie. Liam tak bardzo załatwił mi za skórę, że myślę o nim nawet wtedy, kiedy nie powinienem. Nie muszę się przecież interesować jego grą

i osiągnięciami – mam swoich koszykarzy, na których powinienem się skupić. Między innymi na Jordanie MacCormacku, który doprowadza mnie do białej gorączki i którego najchętniej wyrzuciłbym przez okno pędzącego samochodu. Mogłem się spodziewać, że będą z nim same kłopoty już po tym, co opowiadał mi o nim Miles Roth, ale cóż.

To nie świadczy zbyt dobrze o mnie jako o agencie, ale naprawdę mam serdecznie dość tego dupka. Reprezentuję go dopiero od roku, ale przez ten czas zdążyłem się już nabawić siwych włosów. Nikt nie wywołuje we mnie tak często chęci mordy co on. Czasem nawet myślę, że zrzucił Bate-sa z mojego subiektywnego podium osób, których szczerze nienawidzę.

Ale tylko czasem.

– Właściwie co ty robisz z tymi dokumentami o dziewiątej wieczorem w niedzielę? – pyta z zaciekawieniem, zerkając w stronę stołu.

Chyba uznała temat naszych związkowych porażek za zakończony. I dobrze. Nie mam najmniejszej ochoty ciągnąć rozmowy na temat dupka, który ją zranił, ani tym bardziej frajera, który zniszczył mi życie.

– Przeglądam kontrakt MacCormacka.

– Po co?

– Sprawdzam, czy mogą go wywalić z Cavaliersów za jego ostatnie wpadki.

– I co? – dopytuje. – Mogą?

Wzdycham głośno z udręczeniem.

– Taa... – Kiwam głową. – Mogą, jeśli jego zachowanie wpływa negatywnie na wizerunek drużyny.

– A zdecydowanie wpływa, skoro został oskarżony o wykorzystanie seksualne.

– No właśnie. – Pocieram palcami czoło. – Nie wiem, czy nie porozmawiam z agencją, żebyśmy puścili go wolno.

Chloe wytrzeszcza oczy. A skoro ona jest zaskoczona moimi słowami, to zarządowi zdecydowanie nie spodoba się mój pomysł.

– Ale... – sapie zdumiona. – Przecież on przynosi wam spore zyski.

Być może powinienem uciąć również i ten temat, skoro zeszliśmy w zawodowe rejony, gdyż powinny zostać tajemnicą, ale Chloe jest jedyną osobą, z którą mogę o tym pogadać. Dlatego nie mam problemu z kontynuowaniem rozmowy.

– Niby tak, ale nie sądzę, żeby kasa ze współpracy z nim była tego warta. Dopóki oskarżenie jest tylko oskarżeniem, może nawet pomówieniem, nie jest najgorzej, ale gdy okaże się to prawdą... nie tylko wizerunek Cavaliersów na tym ucierpi, ale również nasz.

Uśmiecha się ze zrozumieniem.

– Przykro mi.

– A mnie nie – wyznaję bez zająknięcia. – Mam dość tego dupka, jego telefonów w środku nocy, że coś odwalił i trzeba posprzątać po nim syf, krycia go i tego całego wiążącego się z nim gówna.

Mam tylko nadzieję, że jeśli przekonam agencję do zerwania umowy z MacCormackiem, to nie trafi mi się ktoś o wiele gorszy.



1

Znacie się?

[Kup książkę](#)



Lance

Wpatruję się bez słowa w Mike’a, jednego z dyrektorów zarządzających Sports Management – agencji, dla której pracuję. Po prostu gapię się na niego, jakby wyrosła mu druga głowa albo – co najmniej – kaktus na czole. W moim wnętrzu szaleje tajfun niespokojnych myśli i przerażenia, jakiego właściwie się po sobie nie spodziewałem.

– Możesz powtórzyć? – proszę, starając się utrzymać nerwy na wodzy.

To nie takie łatwe. Odnoszę wrażenie, że grube mury, którymi otoczyłem bolesne wspomnienia, zaczynają gwałtownie pękać, jakby ktoś używał do tego buldożera.

– Musisz podpisać umowę z Liamem Batesem. – Jego ton mówi tylko jedno: „Nawet sobie nie myśl, że możesz protestować”.

Mimo to próbuję.

– Nie ma szans – odpowiadam bez zastanowienia. Czuję, że oblewają mnie zimne poty, a dreszcz przerażenia przebiega mi po kręgosłupie. – Emma o wiele lepiej się do tego nada.

Czy ja właśnie chwyciłem się ostatniej deski ratunku, sugerując innego agenta? Tak, chociaż dla mnie to raczej jak chwycenie się brzytwy.

– Albo on, albo kończymy współpracę. – Spogląda na mnie twardo. – MacCormack dał ci ostro popalić i poparliśmy

cię przy zerwaniu z nim umowy, więc lepiej wyciągnij głowę z dupy, Lance.

Mocno zaciskam szczęki i zgrzytam z rozdrażnienia zębami.

– Nie tylko mnie dał ostro popalić – zauważam ze stoickim spokojem, chociaż najchętniej, mimo że byłoby to niezbyt profesjonalne, podniósłbym głos. – SM również. Zerwaliście z nim umowę, bo jego oskarżenie o molestowanie było dla was złe PR-owo.

Mike prychnął pod nosem.

– Sądzisz, że jedna z największych firm agencyjnych nie poradziłaby sobie z tym szambem? – Unosi kpiąco brew.

Chyba ubodłem jego ego. Niedobrze.

– To nie pierwszy taki sportowiec i na pewno nie ostatni. Agencja nie odpowiada za czyny swoich klientów.

– Ale...

– Krótka piłka, Lance – przerywa mi chłodno i siada z powrotem za biurkiem. Sięga po jakieś papiery, a moim oczom ukazuje się wyraźny napis na pierwszej kartce. Wypowiedzenie. – Podejmujesz się zadania albo znikasz.

Przełykam z trudem ślinę i milczę. Przecież nie mogę mu powiedzieć, że nie będę reprezentować Batesa tylko dlatego, że go nienawidzę. Równie dobrze mógłbym podpisać wypowiedzenie, skoro nie potrafię odsunąć na bok prywatnych spraw. Może gdybym chciał stracić swoich klientów – głównie koszykarzy, z którymi świetnie się dogaduję i którzy nie dają mi popalić – bez wahania machnąłbym parafkę na każdej ze stron. Tyle że nie chcę z nich zrezygnować.

Zaczynam się wnerwiać na samego siebie.

Dlaczego właściwie tak bardzo zapieram się nogami i rękami? Próbuje sobie przetłumaczyć, że przecież minęło szesnaście

lat. Zresztą znając Batesa, on nawet nie pamięta o kimś takim jak Lance Berry.

– Rozumiem – odzywam się chłodno. Czas wziąć się w garść i skupić na profesjonalizmie. Nic innego mi nie pozostało. – Spróbuję z nim porozmawiać.

W oczach Mike’a błyska ogromna satysfakcja.

– Bardzo mnie to cieszy, Lance.

Na końcu języka mam słowa: „A ja mam ochotę się powiesić”. Oczywiście jest jednak, że tłumię je w sobie i mówię coś zgoła innego:

– Czy to wszystko? – Wyglądam marynarke, żeby zrobić coś z rękami. – Jeśli tak, to pozwól, że wrócę do swoich obowiązków.

– To wszystko. – Kiwa mi głową, po czym zgarnia z blatu papierzyska.

Sekundę później po jego gabinecie roznosi się odgłos niszczarki.

Obawiam się, że jeśli Bates nie zdecyduje się na współpracę ze mną, Mike przy następnej okazji z przyjemnością wręczy mi wypowiedzenie.

Wściekłość zalewa mnie falami, gdy żegnam się krótko z mężczyzną i wychodzę na korytarz. Po raz kolejny Bates ma wpływ na moje życie i po raz kolejny może je zniszczyć. Pieprzona karma mogłaby się chociaż trochę na nim odegrać, a nie tylko mnie śmiać się w twarz.

Dobra, skup się, Lance, i przestań marudzić, strofuję się w myślach, kierując się do windy.

Po drodze mijam gabinety pozostałych członków zarządu. Każde biuro jest zamknięte, ale wątpię, żeby ktokolwiek siedział w środku. Jest już trzecia, a na dworze panują upały – jak to zwykle w Kalifornii pod koniec czerwca.

Zjeżdżam na parking podziemny i z wisielczym humorem oraz milionem niespokojnych myśli podchodzę do czarnego bentleya. Rozpinam marynarkę, zawieszam ją na wieszaku zamontowanym na tylnej części przedniego fotela i dopiero wtedy wsiadam na miejsce kierowcy. Telefon wkładam w uchwyt i uruchamiam silnik. Nie wyjeżdżam jednak z miejsca, tylko gapię się przed siebie w przestrzeń. Ostatni raz pozwalam sobie na negatywne myśli, a potem zamierzam przejść w tryb profesjonalizmu i odsunąć od siebie prywatne sprawy.

Minęło szesnaście lat od naszego ostatniego spotkania, bo jakimś cudem do tej pory udawało mi się unikać Batesa. To nie lada wyczyn, skoro współpracuję z Gabrielem Marshem – dość bliskim przyjacielem tego dupka i graczem Lakersów.

Pocieram palcami czoło i wzdycham do siebie z irytacją.

Już dawno powinienem przełknąć gorycz wydarzeń sprzed ponad dekady i nieziemsko wnerwia mnie fakt, że nie potrafię.

Liam Bates zniszczył mi życie, a ja mam teraz podpisać z nim umowę i sprawić, aby jego życie stało się łatwiejsze i pełne sukcesów.

Co za pieprzona ironia losu, do diabła.



Tegoroczne play-offy skończyły się wygraną Lakersów. Nie to, żebym spodziewał się innego wyniku. W ciągu ostatnich kilku lat radzili sobie coraz lepiej, podobnie zresztą jak kilka innych drużyn. Gdyby nie to, że Miles Roth doznał kontuzji w lutym i przez najbliższy rok nie będzie mógł grać, Orlando Magic miałoby naprawdę spore szanse na starcie z Lakersami w finale.

A ja miałbym problem, komu kibicować.

Zatrzymuję się tuż przed wjazdem na osiedle Bel-Air i oddycham głęboko, przysuwając kartę gościa do czytnika. Gdy tylko szlaban się unosi, kiwam ochroniarzowi w budce na przywitanie i wjeżdżam powoli na teren.

Nie jestem tu po raz pierwszy, niejednokrotnie odwiedzałem Gabriela w domu, ale po raz pierwszy wezmę udział w jego imprezie. Jest moim klientem od trzech lat i za każdym razem, gdy organizował coś na zakończenie sezonu, wręczał mi zaproszenie. A ja za każdym razem odmawiałem, bo nie chciałem znaleźć się w tym samym budynku z Liamem dłużej, niż to konieczne.

Parkuję na podjeździe jednego z większych domów na osiedlu – tuż za czerwonym, błyszczącym porsche – i natychmiast krzywię się na widok numerów rejestracyjnych.

B4TES.

Najwyraźniej już na wstępie wszystko musi mi przypominać, z kim przyjdzie mi dziś przeprowadzić cywilizowaną rozmowę.

Wypuszczam długi, uspokajający oddech, po czym gaszę silnik i wyskakuję z auta. Zamykam bentleya i ruszam w stronę wejścia – żwawym krokiem, żebym się nagle nie rozmyślił. Kiedy docieram do drzwi, naciskam dzwonek i wsuwam dłoń do kieszeni spodni. Na dworze panuje ukrop, mieszkańcy Kalifornii od kilku dni są ostrzegani przed pożarami, a ja mimo to włożyłem garnitur. Zostawienie marynarki w samochodzie było jednak dobrym wyjściem. Już w samej koszuli czuję się jak w pieprzonej saunie.

Zza drzwi dociera do mnie męski śmiech i ciężkie kroki. Chwilę później w progu staje Gabriel. Jeśli próbował wyglądać odświeżenie, to mu nie wyszło. Jego koszula jest rozpięta i ukazuje ciemną skórę na torsie. Podwinął również

rękawy – zapewne po to, żeby wyeksponować pokryte tuszem przedramiona.

Muszę unieść głowę, żeby spojrzeć mu w twarz. Przewyższa mnie o pół stopy.

– Lance! – Uśmiecha się szeroko i zbija ze mną piątkę. – Jednak się pojawiłeś!

– Mówilem przecież, że przyjdę.

– Tak, tak. – Macha na mnie dłonią i posyła mi rozbawione spojrzenie. – Ale stwierdziłem, że dopóki nie zobaczę cię pod moim domem, to w to nie uwierzę. – Zamyka za nami drzwi i kiwa podbródkiem w stronę wnętrza. – Kilku chłopaków już jest, reszta jak zwykle się spóźnia. – Przewraca oczami. – Czego się napijesz?

– Czegoś bez alkoholu.

Gabriel zatrzymuje się w pół kroku i posyła mi pełne zaskoczenia spojrzenie.

– Poważnie?

– Poważnie – odpowiadam spokojnie.

– Ja wiem, że alkohol to zło, ale raz w roku możesz trochę poluzować krawat, co? – rzuca żartobliwie, spoglądając sugestywnie na czarny materiał pod moją szyją.

Oczywiście, że włożyłem krawat. Mimo wszystko mam dziś przeprowadzić służbową rozmowę.

– Jeden drink. Na uczczenie naszej wygranej.

Patrzę na niego, zwiężając powieki, gdy bierze mnie pod włos. Jego oczy o ciemnych, niemal czarnych tęczówkach skupione są na mojej twarzy, jakby próbował wyczytać wszystkie moje myśli. Już przyzwyczaiałem się do tego, że to typ obserwatora, więc nie sprawia mi to dyskomfortu. Gabriel jest jednocześnie jednym z najbardziej wyluzowanych klientów, jakich mam. I od zawsze zwraca się do mnie jak

do starego kumpla, co zdecydowanie ułatwia nam współpracę.

– Dobra – kapituluję. – Jeden drink.

Uśmiecha się szeroko i wyrzuca pięść w geście triumfu.

Parskam śmiechem na jego zachowanie. Co za...

Włoski stają mi dęba na karku w tej samej chwili, w której ponad ramieniem mężczyzny dostrzegam Liama. Stoi na końcu holu i wpatruje się we mnie w ciszy. Z jego twarzy nie potrafię wyczytać żadnych emocji, wygląda tak, jakby została wykuta z lodu. Ciekawi mnie natomiast, czy wiedział, że mam przyjechać. Czy skojarzył, kim jestem.

Dlaczego tak właściwie ja się nad tym, kurwa, zastanawiam?

Staram się nie dać po sobie poznać, jak wielki wpływ ma na mnie jego obecność. Nie zamierzam również udawać, że go nie znam. Nie będę robić z siebie idioty, dlatego kiwam mu nieznacznie głową.

Pierwsze koty za płoty.

– Z kim się...? – Gabriel odwraca się za siebie. – Ach, Liam. Stary, chodź, wy się chyba nie znacie!

Wciskam dłonie do kieszeni spodni i staram się odetchnąć głęboko, a jednocześnie niezbyt mocno poruszyć klatką piersiową. Z każdą chwilą, w której Bates zbliża się do nas z dłonią zaciśniętą wokół kryształowej whiskaczówki, moje serce niekontrolowanie przyspiesza. Dam sobie rękę uciąć, że od chłodnych kropelek spływających wzdłuż mojego kręgosłupa, biała koszula zaczyna mi się przyklejać do skóry.

Nienawidzę go.

Nienawidzę za wszystko, co zrobił, i za to, jak na niego reaguję.

W ogóle nie zaskakuje mnie fakt, że włożył na imprezę dzinsy i koszulkę. Nigdy nie przepadał za oficjalnym ubiorem

i rzadko można go zobaczyć w garniaku. Niemniej... i tak wygląda przystojnie. A to już stanowi dla mnie problem. Mógłby się chociaż nie ogolić albo, nie wiem, włożyć koszulkę na lewą stronę. Ale nie. Nawet w tak banalnym zestawieniu wygląda cholernie dobrze.

– Liam, to jest mój agent. Lance Berry – przedstawia mnie Gabriel. – Naprawdę nie wiem, jakim cudem przez trzy lata was sobie nie przedstawiłem – mamrocze, po czym spogląda na mnie z uśmiechem. – Liama ci chyba nie muszą przedstawiać, nie?

– Nie musisz – odpowiadam luźno i wyciągam dłoń do dupka. – Kopę lat, co, Bates?

Mimo że wpatruję się ze stoickim spokojem w jego twarz, to kątem oka dostrzegam, jak Gabriel ściąga w niezrozumieniu brwi.

– Znacie się? – sapie zaskoczony.

– Tak. – Bates wymienia się ze mną uściskiem dłoni tuż po tym, jak przekłada szklankę do lewej ręki. – Ze studiów.

– Huh. – Gabriel jeszcze mocniej marszczy brwi. – Dałbym sobie rękę uciąć, Lance, że mówiłeś mi, że skończyłeś uniwersytet w Houston.

– Bo skończyłem – odpowiadam, ale nie odrywam wzroku od Liama. Prawdopodobnie właśnie ciskam gromami z oczu, gdy dodaje: – Przeniosłem się tam z Duke’a po pierwszym roku.

Tylko dlatego, że obserwuję Batesa jak pieprzony jastrząb, dostrzegam drgnięcie mięśni na jego szczęcie. Nie powiem, podoba mi się, że nie reaguje obojętnością na moje słowa – to znaczy, że pamięta, co zrobił. Ani trochę jednak nie liczę na to, że czuje skruchę albo – to nadawałoby się do zapisania w kalendarzu na czerwono, gdyby się wydarzyło – postanowi mnie przeprosić.

– Graliśmy razem w drużynie uniwersyteckiej – dopowiada luźno Bates i upija łyk alkoholu, nie spuszczając ze mnie skupionego wzroku. – Był niskim skrzydłowym.

Poruszam szczękami. Z rozdrażnienia i irytacji. Kutas przypomina mi, co przez niego straciłem. Jak ja mam z nim, kurwa, współpracować, kiedy niemal chęłpi się tym, co zrobił?!

Mam ochotę zetrzeć mu z tej jego przystojnej twarzy uśmiezek, ale powstrzymuję się przed tym i unoszę podbródek. Zmuszam się do zachowania spokoju. Do luzu i obojętności. Skoro dupek nawet nie kwapi się do przeprosin, nie zamierzam dawać mu kolejnych powodów do tego, aby odczuwał satysfakcję.

– Był tak beznadziejny, że nie mogłem na to dłużej patrzeć i przeniosłem się do Houston – rzucam rozbawionym tonem i natychmiast przybijam sobie mentalną piątkę na widok zaskoczenia na twarzy Batesa.

Jeden zero dla mnie, kutasie.

Tak, wiem, zachowuję się teraz jak niestabilny emocjonalnie nastolatek, a nie niemal trzydziestosześcioletni mężczyzna, ale mówi się trudno. Skoro nie mogę wyjawiać prawdy i powiedzieć mu tego, co o nim myślę, to chociaż w ten sposób odegram się za przeszłość. Przynajmniej do momentu, aż nie zostanie moim klientem.

Gabriel wybucha gromkim śmiechem i klepie nas po plecach. Najwyraźniej uznał moje słowa za zajełście śmieszny żart. Może to i lepiej, że poszedł w tę stronę, a nie zaczął o coś dopytywać.

– Toście mnie teraz zaskoczyli. – Przerzuca ramiona przez nasze karki i prowadzi w głąb budynku. – Koniecznie musimy uczcić wasze spotkanie po latach!

Mam nadzieję, że nie widać po mnie, jak ogromnie pragnę się stąd ewakuować. Jadąc tu, byłem przekonany, że zyskam chociaż godzinę na nastawienie się na rozmowę z Batesem, ale najwyraźniej los dalej próbuje swoich sił w doprowadzaniu mnie do szału. I nie przestaje, bo gdy tylko docieramy do kuchni, gdzie rozstawione są dziesiątki butelek z alkoholem, likierami i napojami, Gabriel zostawia nas samych, żeby otworzyć komuś drzwi.

Spoglądam w ciszy na Liama i zaciskam wargi w cienką linię na widok rozbawienia w jego piwnych oczach.

– Coś cię bawi? – pytam, zanim zdołam ugryźć się w język.

Robię to o wiele za późno i cudem udaje mi się ukryć grymas wywołany ostrym bólem.

Wysuwa koniuszek języka i oblizuje dolną wargę, nie spuszczaając ze mnie wzroku.

– Owszem – odpowiada luźno i upija łyk alkoholu. Grdyka mu podskakuje, gdy przełyka. – Ty.



2

Czyżbyś śledził
moją karierę,
Lance?



Liam

Muszę przyznać, że obecność Lance’a na imprezie Gabriela jest dla mnie równie mocnym zaskoczeniem, co e-mail otrzymany ze Sports Management kilka dni temu. Wyrazili chęć podjęcia ze mną współpracy. Byłem ciekaw, którego ze swoich agentów wyślą, żeby mnie do tego namówić, i choć liczyłem, że okaże się nim Lance, w życiu nie przypuszczałbym, iż naprawdę tak się stanie. Stawiałem raczej, że od razu się z tego wymiksuje. A tu proszę. Chociaż jeszcze nic nie napomknął o umowie, to istnieje naprawdę niewielkie prawdopodobieństwo, że pojawił się na imprezie prywatnie. Nigdy tego nie robił.

– Co jest we mnie takiego śmiesznego? – pyta niby spokojnie, niby obojętnie, ale w jego jasnoniebieskich oczach, mocno kontrastujących z czarnymi włosami, widać niezmierną irytację.

Uśmiecham się pod nosem.

– Bawi mnie fakt, że tyle lat trzymałeś się ode mnie z daleka, a teraz będziesz musiał się przede mną płaszczyć.

Właściwie myśl o tym, że SM oddelegowało właśnie jego do podpisania ze mną umowy, jest tylko przypuszczeniem. To znaczy było. Teraz, na widok pracujących mięśni na szczękach Lance’a, mam już pewność, że moje domysły są prawdziwe. Zdecydowanie denerwuje go fakt, że jestem o krok przed nim.

Przez kuchnię przewijają się inni goście. Moi kumple z drużyny. Kilku naszych rywali, z którymi Gabriel grywał kilka lat temu. Żaden z nich nie zwraca na nas większej uwagi, ale nawet jakby tak było, nie miałbym nic przeciwko. Nie jestem już tym samym gnojkiem co szesnaście lat temu. Nie obawiam się gadania innych, a przynajmniej dopóki media o tym nie wiedzą. A stąd nic nie wycieknie. Impreza zamknięta, ze stośsem NDA* przygotowanych przez prawnika Gabriela i podpisanych przez gości, daje mi co do tego pewność.

– Dlaczego chcesz podpisać ze mną umowę? – pytam niby od niechcienia, ale jednocześnie naprawdę jestem cholernie ciekaw jego odpowiedzi.

– Bo jesteś jednym z najlepszych graczy NBA – odpowiada poważnie, nie spuszczać ze mnie skupionego wzroku.

Zabawne. On naprawdę myśli, że nie zauważyłem, jak przed chwilą nieznacznie przewrócił oczami? Jak napięły mu się mięśnie na szczękach? Jak poruszył się w miejscu, jakby nie czuł się w moim towarzystwie komfortowo? Chyba zapomniał, z kim ma do czynienia. Jako rozgrywający muszę mieć oczy dookoła głowy. Jestem spostrzegawczy – i to będzie problemem Lance’a, podczas gdy dla mnie jest zbawieniem.

– Ciężko ci to przeszło przez gardło, co? – Mogę się założyć o swoje porsche, że naprawdę mało mu brakuje, żeby mi powiedzieć: „Pierdol się”.

Poprawia krawat, po czym spogląda w stronę butelek z alkoholem stojących na blacie. Sięga po pierwszą z brzegu, a ja z trudem nie parskam śmiechem. Whisky? Chyba naprawdę nieźle wyprowadziłem go z równowagi, skoro właśnie to wybiera.

* *Non-disclosure agreement* (ang.) – umowa o zachowaniu poufności (przyp. aut.).

Jak tylko Lance przytyka szkło do warg, nie pozwalam się nawet na sekundę zdekoncentrować. Nie obchodzi mnie, że ktoś chyba woła mnie z salonu. Po prostu gapię się na mężczyznę, gdy upija łyk i... natychmiast się krzywi. Z ogromnym trudem przełyka alkohol i mogę dać sobie rękę uciąć, że właśnie powstrzymuje odruch wymiotny. Chyba nawet trochę błędnie.

– Co to za gówno? – chrypi, odstawiając szklankę na blat.

Zanim zdola cokolwiek zrobić, podaję mu pierwszą z brzegu butelkę soku porzeczkowego.

– Wypij. Zabije smak.

Musi być naprawdę zdesperowany i bliski zwrócenia zawartości żołądka, skoro nie odmawia. Odkręca zakrętkę i przysysa się do soku, jakby od tygodnia nie miał niczego w ustach.

Okej, to źle zabrzmiało.

Ale tylko trochę.

– Dzięki – mamrocze i oddycha głęboko, po czym potrząsa głową.

Przytykam dłoń do piersi i sapię głośno z udawanego zdumienia.

– Świat się wali – oznajmiam śmiertelnie poważnym tonem.

– Co? – Ściąga brwi i posyła mi pełne niezrozumienia spojrzenie. – O co ci chodzi?

– Lance Berry mi podziękował – wyjaśniam, dalej utrzymując poważny wyraz twarzy. – Albo świat się wali, albo walnąłeś się dziś w głowę.

Prycha i się krzywi, wbijając we mnie nieco urażony wzrok. Chociaż nie, to nie uraza zionie z jego jasnych oczu, tylko irytacja.

– Niektórzy ludzie potrafią zachowywać się cywilizowanie, Bates – odzywa się oschle. – Nie każdy jest... – Milknie, zaciskając usta w wąską kreskę.

Chyba w porę dociera do niego, że nie powinien mnie obrażać.

Ach, to będzie naprawdę zabawne.

Odstawiam pustką szklankę na blat, ale nie dolewam sobie alkoholu, tylko zabieram niemal pełną whiskaczówkę, z której korzystał Lance. Stawiam, że nie będzie już tego pić, a szkoda marnować taką dobrą whisky.

– Nie każdy jest...? – dopytuję spokojnie.

– Człowiekiem pozbawionym kręgosłupa moralnego – odpowiada bez zająknięcia.

Zatyka mnie. Dobrze, że nie zdążyłem jeszcze unieść szkła do ust, bo inaczej chybabym się udławił. Wpatruję się w milczenie w Lance'a, a przez głowę przemyka mi tylko jedna myśl: On nie zamierza się przede mną płaszczyć.

I kurewsko mi się to podoba.

Dawno, naprawdę dawno nie spotkałem agenta, który podszedłby do mnie z takim chłodem, z jakim on to robi. Jasne, na pewno ma na to wpływ nasza przeszłość, a bijąca od niego niechęć do mnie wydaje się namacalna i widać to w każdym jego spojrzeniu, ale fakt, że dalej tu ze mną stoi, świadczy tylko o tym, że mu zależy. Wystarczająco mocno, żeby ze mną przebywać.

Kurwa, jestem pod wrażeniem.

Pozytywnym.

Odrzuciłem większość agentów, gdy próbowali mnie przekupić. Nowymi furami, nowym domem, wakacjami w pięciogwiazdkowych hotelach. Naprawdę było tego sporo. I nic z powyższego mnie nie interesowało. Skoro mam podpisany

kontrakt z Lakersami za trochę ponad dziewięćdziesiąt pięć milionów na najbliższe dwa lata, żadna propozycja nie jest dla mnie wystarczająco interesująca.

– Wracając do tematu... – Lance pierwszy przerywa ciszę. Jego głos jest spokojny, niemal obojętny. – Skoro już się domyśliłeś, dlaczego tu jestem i w ogóle z tobą rozmawiam, to chciałbym przedstawić ci naszą propozycję, ale nie na imprezie.

– Dlaczego nie? – pytam z zaciekawieniem. – Miejsce jak każde inne.

– Żeby zachować chociaż cień profesjonalizmu.

Parskam śmiechem.

– Od zawsze twierdziłem, że powinieneś wyciągnąć kij z tyłka.

Z frustracji zaciska szczęki.

– A ja od zawsze uważałem, że zbyt pochopnie podchodzisz do swojego życia – odgryza się. – Dlatego alkohol i...

– Nie próbuj mnie teraz umoralniać – przerywam mu oschle i upijam łyk whisky, jakbym podświadomie chciał zirytować Lance'a albo po prostu zaznaczyć, że jestem wystarczająco dorosły, żeby samemu podejmować decyzje.

To pewnie tylko moja wyobraźnia, ale czuję na szklance męski, nieco pieprzny zapach. Berry używa zdecydowanie innych perfum niż szesnaście lat temu. Ale wtedy również wyglądał inaczej. Wzrostem niewiele się różni, jednak cała reszta? Elegancko przystryżona broda, starannie ułożone włosy i ten jego nienaganny wygląd to kompletne przeciwieństwo tego, jak się prezentował, gdy graliśmy razem w uniwersyteckiej drużynie. Widywałem go raczej w dżinsach i koszulkach, a nieco przydługawe włosy miał zwykle dość mocno roztrzepane.

– Dlaczego miałbym się zgodzić, żebyś mnie reprezentował? – pytam tylko po to, aby skupić się na czymś innym.

Nie powinienem w ogóle analizować jego wyglądu. Zdecydowanie nie powinno mnie to interesować, ale mimo wszystko nie potrafię nie myśleć o tym, jak idealnie biała koszula opina mu się na wyrzeźbionych ramionach i torsie. Musi ćwiczyć, bo spodnie garnitururowe również przylegają do jego umięśnionych ud. Owszem, widywałem go z daleka w przeciągu ostatnich trzech lat, ale nigdy nie stałem wystarczająco blisko, żeby dokładnie mu się przyjrzeć. Chociaż starałem się, żeby tak się stało, to on unikał mnie jak ognia.

Kurwa.

Lance stał się jeszcze przystojniejszy. I to może być – pod wieloma względami – cholernym problemem.

– Bo nie widzisz wokół ciebie kolejki agentów, którzy chcieliby z tobą współpracować, szczególnie po ostatniej bójce na boisku.

Jego słowa wrywają mnie z zamyślenia. Mrugam kilkakrotnie i krzywię się na samo wspomnienie tamtej akcji. Przyznaję, to mój nie najlepszy moment. Nie mam nic na swoją obronę, schrzaniłem sprawę i jestem wdzięczny, że nie zawiesili mnie na czas finału. Inaczej już dawno leżałbym gdzieś pod stołem – albo w którymś z pokoi na piętrze.

– To, że nie widzisz wokół mnie agentów, nie znaczy, że ich nie ma – odpowiadam spokojnie.

Uśmiecha się arogancko kącikiem ust.

– To kto się do ciebie odezwał? – Przechyliła z zaciekawieniem głowę. – All Sports? Stawiam, że tak. Oni zawsze są pierwsi do składania propozycji, szczególnie tych kiepskich. Ile ci zaproponowali? Cztery procent od wartości twojego kontraktu?

Mocno zaciskam szczękę – tak bardzo, że mało brakuje, abym zaczął zgrzytać zębami. Nigdy nie wątpiłem w zdolności

dedukcyjne Lance'a. Na studiach zawsze miał lepsze oceny ode mnie. Na boisku? Kurwa. Na boisku spokojnie mógłby grać jako rozgrywający i wcale nie oznaczałoby to, że idzie nam gorzej. Mogę mu mówić, że ma kij w tyłku, ale jednocześnie chwalić go w myślach za wiedzę i podejście.

Już sam fakt, że stoi tutaj i ze mną rozmawia, pokazuje, że potrafi oddzielić sprawy prywatne od zawodowych. A to kluczowe, gdy chce się odnieść sukces.

Ja nie do końca potrafię to zrobić, czego efektem była tamta cholerna bójka.

– Nie będę zdradzać warunków innych agencji – odpowiadam wymijająco.

– Nie musisz. – Macha luźno dłonią. – Wiem, jak pracuje All Sports. Kto jeszcze się odezwał? Rachel z BA? Kolejna kiepska propozycja. Czym chcieli cię przekupić? Nową furą? – prycha. – Mógłbyś kupić sobie takich dziesięć i nawet byś tego nie odczuł.

– Czyżbyś śledził moją karierę, Lance? – pytam ze znaczącym uśmiechem, którego nie potrafię powstrzymać.

– Chcąc nie chcąc. – Wzrusza ramionami. – Na tym polega moja praca.

Nie daje mi się podpuścić. I chociaż chciałbym kontynuować naszą rozmowę, to tym razem już nie tylko słyszę, że ktoś mnie woła, ale też czuję owijające się wokół mnie ramiona, a do moich pleców przyciskają się piersi Melody.

– Tu jesteś – szepcze. – Wołałam cię. Nie słyszałeś?

– Wybacz, Mel. – Uśmiecham się do niej przepraszająco. – Rozmawiałem – wyjaśniam i spoglądam na mężczyznę akurat w momencie, w którym z jego twarzy znikają wszelkie emocje. – Lance, poznaj moją przyjaciółkę Mel.

– Cześć! – wita się wesoło i wyciąga do niego dłoń.

Mężczyzna natychmiast wymienia się z nią uściskiem. Uśmiecha się i mówi, że miło mu ją poznać, ale nie umyka mojej uwadze fakt, że mięśnie jego szczęk pracują.

Cóż.

Chyba jej obecność go zirytowała. Pytanie tylko dlaczego.



Nie wiem, który to już z kolei mój drink, ale zaczyna mi powoli szumieć w głowie. Melody jak zwykle nie odstępuje mnie na krok i rusza się tylko wtedy, gdy musi skorzystać z toalety.

Obserwuję z ratanowej kanapy na tarasie, jak Lance rozmawia z Gabrielem i Chrisem, naszym środkowym. Śmieje się z czegoś, co powiedział Gab, a wewnątrz mnie buduje się zazdrość, że przy mnie nie jest taki... rozluźniony. Jakby nieustannie się obawiał, czy czegoś nie odwałę. W sumie nie powinienem się dziwić, że tak jest. Ma pełne prawo mnie nienawidzić. Mimo to i tak nie jest mi z tym zbyt przyjemnie.

– Liam? – Mel obejmuje mnie za kark i przyciąga do siebie.

Jest ode mnie niższa o ponad głowę, więc muszę się naprawdę pochylić, żeby zrównać się z nią twarzami.

– Hm? – pytam, nie odrywając skupionego wzroku od mężczyzny.

Nie potrafię się do tego zmusić. Być może nawet nie chcę.

– Lance... Skąd kojarzę to imię?

Natychmiast upijam solidny łyk słodkiego drinka. Przerzuciłem się na nieco słabszy alkohol, żeby nie przegiąć pały. Nie dziś, gdy na imprezie jest Berry.

– Kiedyś ci o nim mówiłem – wyjaśniam równie cicho.

Melody przez chwilę milczy, jakby próbowała sobie przypomnieć, co mam na myśli. Kiedy przestaje przesuwac

paznokciami po skórze na moim karku, domyślałam się, że właśnie coś do niej dociera.

– To on? – sapie zdumiona.

– Mhm.

– O Boże. – Wypuszcza długi oddech. – W ogóle ci się nie dziwię. Jest cholernie przystojny.

Mocno zaciskam szczęki z frustracji, gdy obok Lance’a nagle pojawia się Michael. Nie gra już w NBA, odszedł po kontuzji dwa lata temu, ale ma swój obóz treningowy i dalej uczestniczy w naszym życiu. Rok temu zrobił wielki coming out podczas jednego z wywiadów. Ani trochę nie podoba mi się fakt, że dotyka ramienia Lance’a, a ten sekundę później wita się z nim ciasnym uściskiem.

– Liam?

– Hm?

– Popatrz na mnie.

Z trudem odrywam wzrok od mężczyzn i wbijam pytające spojrzenie w Mel.

– Gapisz się na niego, jakbyś chciał go zabić.

– Wcale...

– Pamiętasz, jak przyłapałam Cass na zdradzie? – Wygina brew. – Miałam wtedy dokładnie taką samą minę jak ty teraz.

Z niemałym wysiłkiem zmuszam się do uciszenia paniki napływającej do każdego zakamarka w moim ciele. Staram się również przybrać wyluzowany wyraz twarzy, ale to zdaje się na nic.

Mel wywraca oczami i zeskakuje z kanapy, po czym wyciąga do mnie dłoni.

– Chodźmy zatańczyć.

Wzdycham głośno z rozdrażnienia, ale faktycznie idę za nią w tłum ludzi. Tracę z oczu Lance’a, ale może to i dobrze.

Nie mam najmniejszej ochoty patrzeć na to, jak Michael go podrywa – bo bez wątpienia właśnie to robi.

Byłby idiotą, gdyby chociaż nie spróbował.

Gdybym ja nie był takim cholernym tchórzem i nie bałbym się, że Lance kopnąłby mnie w jaja, pewnie zrobiłbym dokładnie to samo. Niestety, jedyne, na co mogę teraz liczyć z jego strony, to bliskość na zasadzie agent-koszykarz.



3

Polecisz ze mną

[Kup książkę](#)



Lance

Śmieję się z opowieści Gabriela o tym, jak przy swojej niedosłej teściowej stracił kąpielówki na basenie. Niby to nic zabawnego, raczej mocno żenującego, ale w zupełności wystarczy mi, żebym nie hamował się przed szczerą i wyluzowaną reakcją.

Milknę dopiero, gdy wyczuwam na ramieniu dotyk. Zerkam w prawo, a moją twarz natychmiast rozświetla uśmiech.

– Michael! – Witam się z nim uściskiem. Zanim się od siebie odsuwamy, klepiemy się po łopatkach. – Nie miałeś przypadkiem być od tygodnia na wakacjach? – Unoszę brew i przechylam głowę, posyłając mu nieco karcące spojrzenie.

– Oj tam, oj tam – rzuca ze śmiechem. – Miałyby mnie ominąć impreza u kumpla?

– Na ostatniej cię nie było – zauważa Gabriel.

– Na ostatniej nie było również Lance’a – odpowiada i puszcza do mnie oczko, po czym spogląda na moje puste dłonie. – Nic nie pijesz? Trzeba to zmienić. Na co masz ochotę?

– Wypiłem już drinka. Wystarczy.

Prycha z niedowierzaniem.

– Nie ma szans. – Kręci gwałtownie głową i chwyta mnie za rękę. – Idziemy po alkohol.

Jeszcze kilka miesięcy temu serce by mi przyspieszyło w reakcji na jego dotyk, ale teraz nie wyczuwam zupełnie nic. Nie wyswobadzam się jednak z jego uścisku. Nie mam powodu.

Ani mi to nie przeszkadza, ani nie wprawia mnie w dyskomfort. Zresztą obaj już dawno zapomnieliśmy o tym, że przez krótką chwilę się spotykaliśmy.

Kiedy tylko docieramy do kuchni, Michael sięga po dwie szklanki i butelkę whisky.

– Nie, błagam – mamroczę. – Tylko nie to gówno.

Posyła mi zaskoczone spojrzenie, po czym pstryka palcami.

– Faktycznie. Zapomniałem, że nienawidzisz łychy. No dobra, to co by ci tu...

– Woda wystarczy.

– Daj spokój, Lance. Od kilku drinków jeszcze nikt nie umarł.

– Jeszcze.

Ściąga brwi w niezrozumieniu.

– Jeszcze? Dlaczego mam wrażenie, że masz coś konkretnego na myśli?

– Wydaje ci się. – Śmieję się nieco zbyt nerwowo i żeby nie zaczął zasypywać mnie nagle gradem pytań, zgarniam piwo z blatu. Otwieram butelkę i upijam kilka łyków. – Co u ciebie? – pytam, żeby kompletnie zmienić temat.

– A co może u mnie być? Cały czas to samo. Kolano ostatnio coraz bardziej mi dokucza.

– Może przydałby ci się odpoczynek, co?

– Nah. – Macha dłonią i nalewa whisky do szklanki. – Ja i odpoczynek? To tak jak ty i urlop.

– Miewam urlopy.

– Ta? – Unosi kpiąco brew. – Kiedy ostatnio na jakimś byłeś?

Próbuję sobie przypomnieć, ale nic nie przychodzi mi do głowy. Czyżbym faktycznie nie brał ostatnio wolnego? Choćby jednego dnia? Huh.

Nagle jednak coś sobie przypominam.

– W zeszłym roku byłem w Europie.

– Żeby poszukać młodych talentów.

– Niep...

– Oczywiście, że prawda. Gadaliśmy o tym pół roku temu, Lance. Mówiłeś, że spodziewasz się przynajmniej dwóch Europejczyków w tegorocznym drafcie. I faktycznie pojawiło się dwóch.

Milczę, bo przecież ma rację. Niby byłem w Europie, a jedynie, co zwiedziłem, to barowy hotel, kilka klubów, z których wyszedłem maksymalnie po godzinie, i niektóre uczelnie.

– Jesteś pracoholikiem.

– Nie przeczę. – Chrząkam. – Ale ty również nim jesteś. – Kiwam głową na jego nogę; wyraźnie widać, że przenosi ciężar na tę zdrową. – Powinieneś odpocząć i wrócić do fizjoterapii.

– Dobrze, tato. – Przewraca oczami ze śmiechem. – Jesteś gorszy niż... – Cichnie i uśmiecha się niepewnie.

– Gorszy niż?

– Luke.

– Luke? – powtarzam po nim jak papuga. – Jaki Luke?

– Poznałeś go kiedyś.

Próbuję sobie coś przypomnieć, ale im dłużej wyteżam mózg, tym on jakby mniej ma ochotę ze mną współpracować.

– Mój sąsiad.

– Aaa! – Uderzam się w czoło. – Faktycznie. Sorry, kompletnie wypadł mi z pamięci.

Kiwa głową i spogląda na szklankę z alkoholem. Przesuwa kciukiem po jej brzegu, jakby w zamyśleniu. Mam wrażenie, że się stresuje, ale nie rozumiem, dlaczego miałby...

– Spotykacie się? – wymyka mi się z ust, zanim tak naprawdę zdołam to przemyśleć.

– Tak – przytakuje powoli. – Od kilku tygodniu.

Mrugam kilkakrotnie z zaskoczeniem.

– A on przypadkiem nie jest hetero?

– Ha! – Śmieje się głośno. – Tak myśleliśmy, nie? No, to okazało się, że nie. Luke jest stuprocentowym gejem.

Przez umysł przewija mi się wspomnienie, jak wyszliśmy z windy i spotkaliśmy na korytarzu wspomnianego mężczyznę. Nie wyglądał na ani trochę zadowolonego, gdy spojrzał na nasze splecione dłonie.

– Wydawało mi się, że krzywo na nas patrzył.

Po raz kolejny parska śmiechem.

– No... – odpowiada, przeciągając samogłoskę. – Okazało się, że był zazdrosny.

– No proszę... – Uśmiecham się nieznacznie i upijam łyk piwa. – Jesteś z nim szczęśliwy?

– Tak – odpowiada natychmiast. – Nadajemy na tych samych falach. Pomaga mi podczas obozów i ogarnia marketingowe sprawy, których nienawidzę. Tak, wiem, mam od tego ludzi, ale wiesz, jak jest. Mój mózg nieustannie twierdzi, że zrobiłbym coś lepiej.

– Wiem, wiem – zapewniam go rozbawionym tonem, chociaż nie powinienem się śmiać, bo sam mam przecież podobnie. – W takim razie cieszę się, że wreszcie znalazłeś kogoś, kto do ciebie pasuje.

– Nie jesteś zły? – W jego głosie wyczuwam niepewność. – Chciałem ci o tym powiedzieć już jakiś czas temu, ale nie wiedziałem, jak zareagujesz, i...

– Oczywiście, że nie jestem – mówię bez wahania. – Dla czego miałbym być?

– No wiesz... spotykaliśmy się i...

Teraz jeszcze bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że rozstanie z Michaeliem było dobrą decyzją. Właściwie to on ją podjął, ja nie chciałem urazić jego uczuć. Nie chciałem go zranić, mimo że od samego początku coś mi w nim nie pasowało. Ta jego niepewność przy mnie i nieustanna potrzeba zapewniania go, że wszystko w porządku. To nie na moje nerwy.

– Obaj wiemy, że nie łączyło nas nic oprócz dobrego seksu – oznajmiam spokojnie i ściskam go za ramię.

Przytakuje mi skinieniem.

– Fakt, ale czasem i tak mam wyrzuty sumienia. Jesteś świetnym gościem i naprawdę nie rozumiem, dlaczego jeszcze nikt cię nie usidlił.

Parskam śmiechem, kręcąc głową.

– Żaden nie byłby w stanie wytrzymać ze mną dłużej niż kilka dni.

– To nieprawda.

– Prawda, prawda. Sam siebie mam czasami dość.

Nie żalę się, po prostu mówię, jak jest. Liam miał rację z jednym – mam kij w tyłku. Zresztą Chloe też mi to często powtarza. Nie potrafię się go jednak pozbyć. No i również nie chcę. Być może to niezbyt zdrowe podejście, ale sztywność stała się moją tarczą przed wszelkimi idiotami, jakich poznałem na przestrzeni ostatnich dwóch dekad. Z Liamem na czele.

– Jesteś dla siebie zbyt surowy. – Przechyliła szklankę i opróżnia ją aż do ostatniej kropli. – Słuchaj, a może umówimy się na podwójną randkę? Luke ma kilku fajnych – porusza sugestynie brwiami – znajomych.

– Na razie nie mam czasu na randki, ale dzięki. – Uśmiecham się uprzejmie. – Jeśli coś się zmieni, dam znać.

Wzdycha głośno i kręci głową.

- Jak zwykle wykręcasz się pracą.
- Co mam ci powiedzieć? – Wzruszam ramionami. – Na pewno słyszałeś, że SM zerwało umowę z MacCormackiem.
- No, coś tam mi się obilo o uszy.
- No właśnie. Muszę teraz znaleźć kogoś na jego miejsce.
- Huh... To faktycznie niezbyt dobry okres na randki. Masz już kogoś na oku? Rozesłać wici, że szukasz klienta?
- Lance?

Włoski na karku stają mi dęba, a po moim kręgosłupie przebiega dreszcz za dreszczem, wywołując drżenie ciała. Głos Liama dociera do mnie z wejścia do kuchni i nie mam pojęcia, dlaczego z ociąganiem odwracam się w stronę Batesa. Z trudem nie krzywię się na widok obejmującej go w pasie Melody. Wnerwia mnie widok ich razem. Niby przedstawił ją jako swoją przyjaciółkę, ale to, jak siedzieli obok siebie na kanapie i szeptali sobie coś na ucho, wcale nie wyglądało jak rozmowa z przyjaciółką. Zresztą kobieta jest zdecydowanie w jego typie – długie blond włosy, obcisła, ciemnozielona sukienka nieco nad kolana i wielkie, zielone oczy. Na bank się pieprzą. Co najmniej.

To mi tylko przypomina o tym, jak cholernie naiwnym dzieciakiem kiedyś byłem, gdy z uporem maniaka wmawiałem sobie, że mu się podobam. Że Liam nie chce wyjść z szafy, bo boi się reakcji otoczenia. A on tylko zrobił sobie ze mnie królika doświadczalnego.

Nie sądzę, żebym kiedykolwiek mógł nienawidzić kogoś równie mocno, jak jego.

– Co tam? – rzucam niby od niechcienia, ale nie przekręcam się całym ciałem w jego stronę. Nie zamierzam dawać mu satysfakcji swoim zainteresowaniem. – Coś się stało?

– Chciałem pogadać o naszym spotkaniu.

Mocno zaciskam szczęki, gdy Michael sapie cicho z zaskoczenia. Szybko jednak się rozluźniam. Co mnie interesuje, jak to wygląda z boku? Ja nie ukrywam przed nikim faktu, że lubię facetów.

– Złapię cię później, dobra? Przeszkodziłeś nam.

Przybijam sobie mentalną piątkę, gdy w ciemnych oczach Liama błyska irytacja. Mięśnie jego szczęk drgają, a jego przyjaciółka chyba pociera go dłonią po plecach – dostrzegam niewielki ruch jej ramienia. Albo próbuje zaznaczyć teren, albo wyczuwa zmianę w postawie mężczyzny.

Tak czy siak – udaję, że mam to gdzieś.

– Nalegam – cedzi przez zaciśnięte zęby.

Wzdycham głośno i spoglądam na Michaela. Coś czuję, że Liam nie odpuści, a nie mam ochoty na żadne sprzeczki i zwracanie na siebie uwagi. Nie mogę się wdawać w żadne krzywe akcje, szczególnie na imprezie, na której przebywają moi przyszli potencjalni klienci.

– Sorry – odzywam się do mojego byłego-niedoszłego. – Załatwię to szybko i wrócimy do rozmowy.

– Jasne. – Michael uśmiecha się ze zrozumieniem, po czym nalewa sobie alkoholu do szklanki i rusza do wyjścia. – Będę gdzieś w ogrodzie.

– Dobra! – odkrzykuję mu, zanim znika mi z pola widzenia. Upijam spory łyk piwa i dopiero teraz odwracam się do Liama. Opieram się biodrem o kuchenną wyspę i krzyżuję nogi w kostkach, po czym unoszę brew. – Więc? Jednak chcesz porozmawiać o mojej propozycji gdzie indziej?

– Tak – odpowiada oschle. – Tu kręci się za dużo ludzi.

– No co ty nie powiesz.

Doprowadzanie go do szału coraz bardziej mi się podoba. Aż zaczynam żałować, że przez tyle lat go unikałem. Najwyraźniej – z jakichś niewiadomych mi przyczyn – Liama irtuje fakt, że nie skaczę wokół niego jak pieprzona małpa.

– Jak stoisz z czasem w ciągu najbliższego miesiąca?

Ściągam brwi.

– Musiałbyś trochę bardziej sprecyzować swoje pytanie.

– Jutro wylatuję na Long Island.

Poruszam ustami na boki, po czym sięgam do kieszeni spodni. Wyciągam komórkę i uruchamiam kalendarz. Robię to tylko po to, żeby grać na czas i zirytować Liama. Najwyraźniej w jakiś pokręcony sposób jemu również zależy na tym spotkaniu, skoro przyszedł za mną do kuchni. Tylko dlatego pozwałam sobie na nieco nieprofesjonalne zachowanie.

Wpatruję się przez kilka sekund w pusty kalendarz – najbliższe poważniejsze zobowiązania mam dopiero za sześć dni, ale Bates nie musi o tym wiedzieć. Przesuwam kciukiem po ekranie i wydaję z siebie ciche mruknięcie.

– Mógłbym przesunąć kilka spotkań, żeby jutro się z tobą zobaczyć – odzywam się wreszcie i spoglądam na niego, chowając telefon. – O której godzinie masz lot?

– O dziewiątej.

– Wieczorem? Świetnie. W takim razie możemy umówić się przed południem w...

– Rano.

Mrugam kilkakrotnie.

– Rano? – Kręcę głową z niezrozumieniem. – To jak ty chcesz się spotkać?

– Polecisz ze mną.

Wybucham gromkim śmiechem i niemal stukam się palcem w czoło.

– Chyba wlałeś w siebie za dużo alkoholu – rzucam z niedowierzaniem. – Nie wiem, skąd pomysł, że miałbym gdzieś z tobą lecieć.

– Albo lecisz, albo szukam kogoś innego. – Wzrusza nie dbale ramionami. – Twój wybór.

Zaciskam z rozdrażnienia szczęki.

Najwyraźniej on również zamierza doprowadzać mnie do szału.

– Dobra – warczę. – Porozmawiamy w samolocie.

Uśmiecha się z zadowoleniem.

– Później podeślę ci dokładne informacje na temat lotu.

– Podaj mi je teraz.

– Nie.

Zanim zdołam się odezwać, kompletnie zaskoczony jego sprzeciwem, Liam opuszcza kuchnię razem z nieustannie obejmującą go w pasie Melody.

Zgrzytam zębami ze złości.

Nawet nie zacząłem z nim współpracować, a on już mnie wkurwia.



4

Nie przeginaj
pały, Bates



Liam

Dlaczego ja go zaprosiłem na Long Island? Co mi, kurwa, strzeliło do głowy? Czy mnie do reszty już mózg odjęło?

Dokładnie takie myśli towarzyszą mi w drodze na lotnisko. Już kilka minut po tym, jak opuściłem wczoraj kuchnię, zostawiając w niej Lance'a, zacząłem żałować swoich słów. Przebywanie z nim sam na sam w domu pełnym ludzi okazało się cholernie trudne, ale przebywanie z nim sam na sam w odrzutowcu? Naprawdę, kurwa, mam nie po kolei w głowie.

Do tego stopnia zacząłem żałować swojej propozycji, że informacje o locie przesłałem mu dopiero o czwartej nad ranem. Nie wiem, co on robił o tej godzinie, ale odpisał mi niemal od razu. Obudziłem go? Czy może jeszcze nie zdążył położyć się spać?

A może spędzał noc z Michaeliem...?

Na samą myśl o tym, aż ściska mnie w dołku.

Jeśli to nie pieprzona zazdrość, to na pewno cholerna niestrawność.

Ale stawiam na to pierwsze.

Potrząsam głową, parkując na długoterminowym parkingu na lotnisku. Wsiadam z auta i opieram się tyłkiem o nagrzaną blachę. Tym razem przyjechałem jaguarem. Nie zamierzam ryzykować i zostawiać tutaj porsche.

Podnoszę głowę i rozglądam się po zaparkowanych samochodach w poszukiwaniu Lance'a, ale nigdzie go nie widzę. Albo jeszcze nie przyjechał, co byłoby dziwne, skoro to ja spóźniłem się pięć minut, albo jest już w budynku.

Wzdycham i wybieram jego numer.

– Halo? – Z głośnika dociera do mnie nie tylko jego głos, ale również szum.

Ściągam brwi.

– Gdzie ty jesteś?

– Będę do pięciu minut.

– Jesteś spóźniony – warczę z irytacją.

Właściwie nawet nie wiem, czy bardziej irytuję się na niego, czy na siebie, że ma na mnie taki wpływ. A może na fakt, że zaczynam się stresować lotem?

– Ty również się spóźniłeś.

– Wypraszam sobie – kłamię bez zajknięcia. – Byłem na czas.

– Ta, a ja mam w bagażniku hipopotama.

Parskam śmiechem. Akurat to mnie rozbawiło.

– Jedziesz ciężarówką, że się zmieścił?

– Ciężarówka nie ma bagażnika, Liam.

Prycham.

– Jeśli nie pojawisz się tu w ciągu dwóch minut, lecę bez ciebie – oznajmiam oschle.

– Okej – rzuca obojętnie i tak po prostu się rozłącza.

Gapię się na wygaszony ekran telefonu z lekko rozchyłonymi wargami. Czy on mnie właśnie... olał? Jestem tak zaskoczony jego zachowaniem, że nawet mnie to nie denerwuje. Gdyby to był ktoś inny, kazałbym pilotowi wylecieć szybciej. Miałbym go w dupie i poszukał innego agenta. Ale to Lance. Dlatego mocno zaciskam szczęki i zgrzytam zębami, ale nie

ruszam się z parkingu. Otwieram jedynie drzwi i zgarniam z tylnej kanapy czapkę z daszkiem. Nasuwam ją na głowę i opieram się ponownie o auto, krzyżując ramiona na piersi.

Dziesięć minut później – tak, sprawdzałem na telefonie – na parking wjeżdża czarny, błyszczący się jak psu jajca samochód.

– Oczywiście, kurwa, że jeździ bentleyem – mamrocze do siebie.

Kiedy tylko Lance parkuje auto i wyskakuje na zewnątrz, zmuszam się do tego, żeby na niego nie naskoczyć. Nie zamierzam sprawiać mu satysfakcji tym, że zdołał wyprowadzić mnie z równowagi. Zamiast tego otwieram bagażnik, wyciągam ze środka torbę i przewieszam ją sobie przez ramię. Nie potrzebuję więcej rzeczy – na miejscu mam w cholerę ubrań.

Tłumię w sobie śmiech, gdy zauważam, że Lance ma jedynie niewielką torbę – zapewne z laptopem. Wątpię, żeby zmieściło się tam cokolwiek więcej. Trochę jest mi go szkoda, że nie przedstawiłem mu dokładnie swojego planu i zasad, do jakich będzie się musiał dostosować, żebym podpisał z nim umowę. Ale tylko drobinę.

– Czyżbyś zasnął? – pytam nonszalancko, gdy do niego podchodzę.

Spogląda na mnie znad okularów przeciwsłonecznych i unosi kącik ust w uśmiechu.

– Nie – odpowiada śmiertelnie poważnym tonem. – Wiem, jak lubisz się spóźniać, więc wyjechałem później, żeby nie sterczeć jak idiota na parkingu. – Kiwa głową w stronę budynku. – Idziemy?

Co za...

– Idziemy – cedzę przez zaciśnięte zęby.

Jeśli tak ma wyglądać nasza współpraca w przyszłości, piśzę się na to. Ktoś z boku mógłby uznać, że jestem szalony,

skoro Lance ewidentnie mnie nie znosi, ale doskonale zdaję sobie sprawę, że jak przyjdzie co do czego, to stanie na rękach, żeby ułatwić mi życie.

No i bez wątpienia będzie mi dostarczać mnóstwo rozrywki.

Bez problemu przechodzimy przez lotnisko i wchodzimy do hangaru. Nie podoba mi się jednak to, że wokół odrzutowca kręci się kilkunastu kolesi w roboczych ubraniach. Marszczę brwi i ruszam żwawym krokiem w stronę Richarda – pilota – stojącego z boku.

– Cześć – witam się z nim i kiwam podbródkiem w stronę samolotu. – Co jest?

– Awaria. Jeszcze nie wiedzą, co się dzieje.

No chyba, kurwa, nie.

– Czyli nigdzie nie lecimy? – zagaja luźno Lance.

Posyłam mu wściekle spojrzenie, na co unosi dłonie w geście poddania.

– Przecież nie rzuciłem na twoje cacko żadnej klątwy.

Wciągam głośno powietrze nosem i wypuszczam je powoli ustami, skupiając się na pilocie.

– Ile to może potrwać?

Richard spogląda na mnie ze skwaszoną miną.

– Moim zdaniem nigdzie dziś pan nie polecą, panie Bates. Jakakolwiek nie jest to awaria, dopóki nie zrobią dokładnego przeglądu, a ja nie wykonam lotu próbnego, nie zamierzam ryzykować pańskim życiem.

Z jednej strony doceniam jego chęć dbania o moje bezpieczeństwo – za to mu przecież płacę – ale z drugiej właśnie szlag jasny trafia moje plany.

A może jednak wyjdzie mi to na dobre, skoro jeszcze go dzinę temu żałowałem, że zaproponowałem Lance'owi lot?

– Świetnie – kwituje mój być-może-przyszły agent. – W takim razie mogę wracać do siebie. – Robi krok w tył, ale chwytam go za przedramię. – A ty co?

– Pojedziemy autem – oznajmiam, pospiesznie zwalniając uścisk.

Wybucha pełnym niedowierzania śmiechem.

– Na Long Island? – rzuca rozbawionym głosem. – Chyba ci słońce przygrzało.

Zaciskam z frustracji szczęki.

Dlaczego nie odpuszczę? Bo nie. Nienawidzę, gdy coś nie idzie po mojej myśli.

– Nic mi nie przygrzało.

– Najwyraźniej jednak tak. – Poważnieje. – To prawie trzy tysiące mil. Nawet ty nie jesteś tak skrajnie nieodpowiedzialny.

Ma rację. To idiotyczny pomysł. Pozabijalibyśmy się w samochodzie, zanim dojechalibyśmy na miejsce.

– W takim razie jedziemy do Cabo San Lucas*.

Lance unosi brwi i wzdycha głośno.

– Poważnie? – Ramiona mu opadają. – Do Meksyku?

Czuję na sobie spojrzenie Richarda, ale gdy na niego zerkam, szybko odwraca wzrok. Ufam mu, ale nie będę dalej prowadzić przy nim dyskusji, dlatego żegnam się pospiesznie i chwytam Lance'a za ramię.

– Idziemy.

– Może tak jakieś „proszę”, co?

– Prosi to się świnia.

– Bardzo dorosłe, Liam – prycha. – Naprawdę. Po prostu słownictwo i odzywki na poziomie trzydziestosześcioletka.

* Cabo San Lucas – miasto w Meksyku, w stanie Kalifornia Dolna. Kurort wypoczynkowy na południowym krańcu Półwyspu Kalifornijskiego (przyp. aut.).

Mam dość. Aktualnie mam serdecznie dość niechęci Lance'a i tego, że szlag jasny trafił moje plany. Jak również tego, że mężczyzna staje okoniem do wszystkiego, co powiem.

Czy mogę mu się dziwić? Nie. Ale to nie zmienia faktu, że mnie to wnerwia. I jednocześnie, kurwa, kręci.

– Nie jadę z tobą do Meksyku – mówi stanowczo, gdy wychodzimy na zalany słońcem parking.

– Spoko – rzucam, nawet na niego nie spoglądając.

Kurwa, zachowuję się jak dziecko, ale nic na to nie poradzę. Zaczyna mi odbijać, bo moje plany legły w gruzach. Być może Lance ma kij w dupie, ale ja również mam swoje wady.

Mężczyznę chyba zatyka, bo nic mi nie odpowiada. Nie odzywa się również wtedy, gdy nie zatrzymuję się przy jego samochodzie, tylko kieruję się do jaguara. Będę musiał podjechać do domu, przepakować się do większej walizki i zmienić auto.

W momencie, w którym otwieram bagażnik, na moją rękę pada cień. Przekręcam głowę i spoglądam z uniesioną brwią na Lance'a.

Wpatruje się we mnie uważnie, a na jego twarzy widać jedynie skupienie. Nic więcej.

– Co? – burczę.

– Poważnie chcesz jechać do Meksyku?

– Tak.

Parska z niezadowoleniem.

– Co ci znowu nie pasuje? – pytam z irytacją.

Przygryza wnętrze policzka i mruży oczy.

– Dlaczego nie możesz zostać tych kilku dni w LA i poczekać, aż naprawią twój samolot?

– Bo potrzebuję się stąd wyrwać – odpowiadam, zanim zdołam ugryźć się w język.

Nie wiem, czy mi się tylko wydaje, czy nie, ale spojrzenie Lance'a jakby mięknie. Rysy jego twarzy się wygładzają, a z oczu znika irytacja.

– Nie wierzę, że to powiem... – mamrocze pod nosem.

– Co?

– Pojadę z tobą. – Krzywi się nieznacznie, gdy rozchylam w zdumieniu wargi. – Nie bądź taki zaskoczony. Muszę ci przedstawić tę cholerną propozycję w jakiś cywilizowany sposób, więc zamknij usta i przestań się na mnie gapić, jakbym powiedział, że lecimy w kosmos.

– Dlaczego?

– Co: „dlaczego”?

– Dlaczego nagle się zgodziłeś?

– Bo najwyraźniej naprawdę zależy ci na tym wyjeździe, a ja dbam o swoich klientów.

Serce niespodziewanie mi przyspiesza, a brzuch mrowi.

Co, do kurwy?

– To dziwnie zabrzmiało – zauważam kpiąco.

– Ta? – Unosi brew. – Chyba tylko dla ciebie – dodaje oschle i kiwa głową na jaguara. – Podjadę po ciebie bentleyem. Muszę się tylko spakować chociaż na kilka dni.

– Na miesiąc.

– Nie przeginaj pały, Bates – ostrzega, ale w oczach błyska mu rozbawienie.

Jego to śmieszy?

– Jestem śmiertelnie poważny – oznajmiam spokojnie i zatraskuję bagażnik. – Obaj wiemy, że jeśli zostaniemy sami, to możemy się pozabijać, więc dobrze byłoby poprawić nasze stosunki. Miesiąc w Cabo San Lucas to idealna szansa.

– Raczej ryzyko, że cię utopię.

– Nie dasz rady.

Porusza ustami na boki, po czym wzdycha głośno i kręci głową.

– Kilka dni, Bates.

– Trzy tygodnie.

– Jeden tydzień.

– Dwa i sześć dni.

– Jesteś niepoważny.

Staram się nie parsknąć śmiechem. Naprawdę, z całych sił.

– Jestem kurewsko poważny, Berry. – Chrzakam. – A tak w ogóle to czemu mamy jechać bentleyem? Moje porsche jest o wiele...

– Bo jeździsz, jakbyś miał osiem żyć, a ja nie zamierzam się stresować, że rozpieprzymy się gdzieś na drzewie.

– Poważnie? – pryham. – A ty pewnie jeździsz jak stary dziadek i zamiast dwudziestu jeden godzin w samochodzie, spędzimy tam co najmniej czterdzieści osiem.

– Zaraz nigdzie nie pojedę.

– Akurat. – Szczerzę się szeroko. – To tobie bardziej zależy na współpracy ze mną.

Bujda na resorach. Pieprzone kłamstwo. Wątpię, żeby to jemu zależało bardziej, chociaż kto go tam wie.

– Nienawidzę cię, Bates – cedzi przez zaciśnięte zęby.

– Z wzajemnością, Berry – mówię oschle, mimo że moje uczucia co do niego nie mają zbyt wiele wspólnego z nienawiścią. – Więc? Trzy tygodnie?

– Dwa.

Przewracam oczami. Nic więcej chyba nie ugram.

– Niech ci będzie.

– Świetnie – mamrocze. – Przyjadę po ciebie w ciągu kilku godzin.

– A jakieś bardziej konkretne widełki czasowe?

– Siedź na dupie i czekaj – rzuca, ruszając w stronę swojego auta.

– Wiesz, że nienawidzę nie znać dokładnej godziny wydarzenia! – krzyczę za nim, zwijając z frustracji pięści.

– Nic mnie to nie obchodzi! – odkrzykuje, zanim wsiada do bentleya.

Chwilę później uruchamia silnik i wyjeżdża z miejsca parkingowego.

Poruszam się dopiero, gdy czarne auto znika mi z pola widzenia. Miałem między zębami siarczyste przekleństwo, po czym ściągam z głowy czapkę i wsiadam do jaguara.

Jestem ciekaw, kto pierwszy zapragnie ewakuować się z Meksyku. Nie mam już pewności, że to nie będę ja. Szczególnie jeśli Lance dalej zamierza wbijać mi szpilki w bok i testować moją cierpliwość. Stawiam, że któryś z nas w końcu nie wytrzyma.



Lance podjeżdża po mnie pięć godzin później. Wysiada z auta, opiera się o maskę, po czym krzyżuje ramiona na piersi i nogi w kostkach. Patrzy na wejście do domu, ale nie rusza się z miejsca.

Jestem tego świadkiem tylko dlatego, że od niemal godziny sterczę w kuchennym oknie i obserwuję wjazd na mój teren. Nie przesadzałem, gdy mówiłem, że nienawidzę nie znać swoich planów na najbliższe dwadzieścia cztery godziny. Nigdy za tym nie przepadałem, a on najwyraźniej postanowił to wykorzystać.

Kutas.

Przystojny, ale wciąż kutas.

Wychodzę z domu z walizką. Musiałem się przepakować, bo w Cabo San Lucas nie mam zbyt wielu ciuchów. Właściwie to całkiem niewiele. Nie miałem za bardzo czasu i chęci, żeby organizować sobie tam lepsze warunki do życia. Mimo że kupiłem chatę kilka miesięcy temu, byłem tam tylko dwa razy – i to przed sfinalizowaniem zakupu.

– Nie będzie ci za gorąco? – pytam, kiwając podbródkiem na jego białą koszulę i długie spodnie. – Przecież ty się uto-
pisz we własnym pocie w aucie.

– Nie martw się o mnie – odpowiada oschle, po czym od-
pycha się od maski i okrąża pojazd.

Otwiera mi bagażnik, a gdy tylko ładuję do środka waliz-
kę, zatrząskuje go z hukiem.

– Czyżbyś się czymś denerwował? – dopytuję.

– Jestem zajebiście spokojny.

Nie patrzy na mnie, więc nie może zobaczyć, jak wyso-
ko unoszę brwi. Jeśli on jest spokojny, to ja jestem Matką
Teresą. Nie odzywam się jednak, bo jeszcze kilka takich od-
zywek i pokłócimy się, zanim w ogóle opuścimy LA. Tylko
dlatego grzecznie wsiadam do auta i rozsiadam się wygodnie
na miejscu pasażera. Gdy tylko zamykam drzwi, w nozdrza
uderza mnie pieprzny zapach perfum. Staram się ignorować
mrowienie skóry, ale nie potrafię powstrzymać się od przy-
mknięcia powiek.

– Już idziesz spać? – pyta zaskoczonym głosem.

– Chyba lepiej będzie, jeśli prześpię trasę, bo inaczej mogę
oszaleć.

Oczywiście nie zasypiam, nie potrafię się nawet zdrzem-
nąć. Nie w obecności Lance’a. Nie w aucie, które przeziębione
jest jego męskim zapachem. Miałem nadzieję, że szesnaście

lat w zupełności wystarczy, żebym się z niego wyleczył na tyle, aby nie wariować w jego obecności, ale najwyraźniej cholernie się pomyliłem.

Melody miała rację, gdy żegnałem się z nią po imprezie. Niektórzy ludzie tak zachodzą nam za skórę, że jedynie oskalpowanie mogłoby pomóc w pozbyciu się ich.

Lance jest tego idealnym przykładem.